

Jacek Koronacki

Co dalej Ameryko?

Rok 1984 przyniósł ważny i obszerny, liczący 105 stron, list Komisji Laikatu Amerykańskiego ds. Katolickiego Nauczania Społecznego i Ekonomii USA. Komisji, która pochyliła się nad kondycją społeczeństwa amerykańskiego i poprawą tej kondycji w jej ekonomicznym aspekcie, przewodniczyli William E. Simon, biznesman i były Sekretarz Skarbu, oraz Michael Novak, znany na całym świecie filozof i teolog, piewca demokratycznego kapitalizmu. Wtajemniczeni twierdzą, że Novak miał później niemały wpływ na ostateczną postać encykliki „Centesimus Annus” Ojca Św. Jana Pawła II.

Encyklika w sposób wyważony poddawała krytyce państwo opiekuńcze przeciwstawiając jej, także wyważoną, obostrzoną jasno wyartykułowanymi warunkami brzegowymi pochwałę wolnego rynku. Nade wszystko apelowała o kierowanie się w polityce społecznej zasadą pomocniczości, która to zasada nie pozwala wspólnotom „wyższego szczebla” ingerować w wewnętrzne życie wspólnot „szczebla niższego” (gmina nie ma prawa pozbawiać rodziny jej możliwości dbania o swoje sprawy, państwo nie prawa tego czynić gminie, przeciwnie, np. prawa stanowione przez państwo powinny sprzyjać wolnym działaniom wspólnot niższych szczebli ku ogólnemu dobru).

Zapowiedzi kryzysu społecznego

Wcześniej niż od encykliki o 7 lat list laikatu, gdy analizował sytuację amerykańskiej biedoty, wskazywał, że problemem nie jest brak federalnych funduszy na wyniesienie wszystkich obywateli żyjących poniżej progu ubóstwa powyżej tego progu. W owym czasie federalne dotacje dla biedoty składały się na sumę około 100 miliardów dolarów rocznie, podczas gdy zwykle rozdanie im z tej sumy zaledwie 45 miliardów spowodowałoby zniknięcie osób żyjących poniżej wymienionego progu. Oczywiście takie rozdawnictwo byłoby absurdem – biedni za chwilę znowu pojawiliby się w miastach, zaś problemy społeczne w niższych warstwach społecznych zostałyby zwiększone. Problem nie leżał w pieniądzu, lecz na przykład we wprowadzeniu, albo przywróceniu, mechanizmów ułatwiających tzw. ekonomiczną mobilność – od ubóstwa ponad nie, czy na innym poziomie zamożności z klasy średniej do wyższej klasy średniej.

Wówczas dobrze już było widać wśród czarnoskórych Amerykanów złe owoce bezpardonowego włączenia się państwa w zwalczanie segregacji rasowej oraz państwowej opiekuńczości (johnsonowskiej tzw. wojny z ubóstwem – *War on Poverty*). Po pierwsze, prowadzone przez państwo działania desegregacyjne zdeorganizowały lokalne wspólnoty czarnych społeczności. I po drugie, rząd zbudował system rozdawnictwa zasiłków, który przyczynił się do zniszczenia rodziny poprzez dofinansowywanie samotnych matek (zasiłki, dopłaty do czynszu, bony żywnościowe). Oto jeden z wielu mierzalnych efektów państwowych ingerencji – wśród czarnych Amerykanów dzieci urodzonych w związkach pozamałżeńskich było 14% w roku 1940, 25% w roku 1965, 56% w roku 1980, ok. 70% w

roku 2010. Oczywiście, z czasem, niezwykle istotnym czynnikiem sprzyjającym tej chorej sytuacji stał się narastający kryzys społeczny w całej Ameryce.

W 1984 roku Charles Murray, znakomity socjolog z American Enterprise Institute, pytał w prologu do swojej książki „Loosing Ground” jak to jest możliwe, że w roku 1980 w Ameryce żyło w ubóstwie 13% ludzi, tak samo jak w roku 1968, podczas gdy federalne wydatki na walkę z biedą było w roku 1980 czterokrotnie większe niż 12 lat wcześniej. I odpowiedzi szukał w błędzie systemu jako całości, a nie w tym, że ten czy ów konkretny program pomocy został źle pomyślany.

Ostatnia dekada XX wieku i początek wieku XXI przyniosły prace świetnych umysłów, jak np. Robert Putnam czy Francis Fukuyama, o sympatiach lewicowych i prawicowych, patrzących różnie na amerykańskie społeczeństwo, ale najczęściej widzących pogłębiający się jego rozkład. Wszyscy dostrzegali malenie, jak to się dziś nazywa, kapitału społecznego, rozpad większych wspólnot, ale też rodziny, malejącą religijność i rosnący indywidualizm.

Jedni uważali, jak Putnam, że dalece zbyt słabą przeciwwagą dla tych zjawisk jest np. tworzenie się wspólnot nowego typu, społecznie jednorodnych i zamkniętych, z których każda może łączyć tylko jeden segment społeczeństwa.

Inni mieli nadzieję na odbudowę kapitału społecznego poprzez owe wspólnoty nowego typu, np. zawdzięczane Internetowi wirtualne sieci społeczne. Spoglądając szerzej, jak Fukuyama, liczyli na odbudowę kapitału społecznego przez zastąpienie więdnących społecznych norm i zakazów nowymi. Miało temu np. służyć instrumentalne wykorzystanie religii – byle nie traktowanej poważnie i zinstytucjonalizowanej, której Fukuyama był wrogi – jako rytuału ułatwiającego wychowanie dzieci.

Badacze ci dostrzegali pogorszenie się wskaźników obrazujących dobrostan społeczeństwa, ale nie potrafili albo nie chcieli – zapewne zamknięci w swoich ideologicznie zdefiniowanych kręgach – wyciągnąć z tego wniosków. Jak wówczas Fukuyama liczyli, że w wyniku społecznej ewolucji i naturalnego popytu na kapitał społeczny ten się jakoś odrodzi. Na przykład zniknie tradycyjne małżeństwo, ale coś powstanie na jego miejsce. Zaś niektóre wskaźniki wyglądały tak: dzietność spadła z poziomu 2,3 w okolicach roku 1970 do 1,7 w roku 1976, by praktycznie nie zmienić się przez dekadę; około roku 1980 dokonywano w USA do 1,5 miliona aborcji rocznie; w roku 1969 dzieci urodzonych w związkach pozamałżeńskich było 9%, ale w roku 1979 już prawie 19%.

Przed wszystkim prawie wszyscy pomijali fenomen największej doniosłości – zbiorcze dane, dotyczące całej Ameryki, nie mogły zilustrować tego, iż w latach 70-tych XX wieku zaczął być widoczny rozpad społeczeństwa amerykańskiego. Żeby to zobaczyć, wystarczy porównać procent nieślubnych dzieci w całej Ameryce i tylko wśród czarnych Amerykanów. Niedługo trzeba było czekać, żeby podobny rozdział rozdzielił wyższe warstwy od białej amerykańskiej biedoty.

Jak to określił w doskonałej książce z tego roku Yuval Levin, “The Fractured Republic: Renewing America’s Social Contract in the Age of Individualism”, droga amerykańskiego społeczeństwa rozwidliła się i dziś na końcach owego rozwidlenia mamy skoncentrowane

dwie fundamentalnie inne społeczności (Levin pisze o rozwidlonej koncentracji, *bifurcated concentration*).

Spoleczny rozpad

Nadchodząca głęboka zmiana amerykańskiego społeczeństwa była dla niewielu jasna dziesiątki lat przed końcem XX wieku. W 1941 roku amerykański uczeń Wilfrida Pareto, James Burnham, pisał o rewolucji menedżerskiej. W USA i na całym rozwiniętym świecie miał zapanować nowy ustrój – menedżerski liberalizm. A, co dla nas tu najważniejsze, miała powstać zupełnie nowa wyższa klasa rządząca państwem. Myśl Burnhama później rozwijali Samuel Francis i Paul Gottfried. W 1956 roku Charles Wright Mills wydał dzieło “The Power of Elite”, a w 1994 ukazała się Christophera Lascha “The Revolt of the Elites and the Betrayal of Democracy”.

Także w 1994 ukazała się Richarda Herrnsteina (który nie doczekał wydania książki) i Charlesa Murraya „The Bell Curve: Intelligence and Class Structure in American Life”. Ci ostatni autorzy odważyli się zbadać intelektualne zdolności Amerykanów różnych ras. Wyniki okazały się niekorzystne dla czarnoskórej populacji. W połączeniu z oczywistym w owym momencie wytworzeniem się nowej klasy wyższej – merytokracji, mogącej pochwalić się wysokim ilorazem inteligencji i elitarnym wyższym wykształceniem – wniosek był jeden. W Ameryce trwa proces społecznego rozpadu na nową klasę wyższą, która będzie się relatywnie miała coraz lepiej, nową klasę niższą, która będzie relatywnie coraz biedniejsza i coraz bardziej podatna na moralną degenerację, i klasę średnią, którą czeka swego rodzaju stagnacja.

Ówczesna diagnoza okazała się aż nadto trafna. Między innymi wykazał to sam Murray (p. jego „Coming Apart: The State of White America, 1960-2010”).

Jak to już pisałem kiedyś za Murrayem, dzisiejsza klasa wyższa jest pod właściwie każdym względem różna od reszty białej Ameryki, o Latynosach i czarnych Amerykanach nie wspominając. Co ciekawe, postawy etyczne członków nowej klasy wyższej, przynajmniej jeśli spojrzeć na nie przez pryzmat badań statystycznych, wypadają pod wieloma względami lepiej niż można by się spodziewać pamiętając o jednoczesnej promocji etycznego indyferentyzmu i nihilizmu przez postępowe ośrodki opiniotwórcze.

Każdy naród potrzebuje elity. W różnych epokach inne są sposoby tworzenia elity i kooptacji do niej, ale bez wzorców przez nią uosabianych i szerzonych naród ulega degeneracji. Tymczasem amerykańska nowa klasa wyższa, która zachowuje się zgodnie z tradycyjnym kodem postępowania, jest pewna siebie jedynie jako dominująca mniejszość. Zarazem odrzuca misję duchowego przewodzenia narodowi. Jeszcze praktykuje niektóre cnoty, ale już ich nie szerzy. Przyjęła za swój język liberalizmu i przyzwoliła na promocję etycznego nihilizmu.

Elita władzy w USA reprezentuje interes inny niż milczącej większości narodu, interes władzy globalnej. Do tego na przełomie wieków rząd postanowił obciążyć amerykańską ekonomię kosztami militarnego awanturnictwa na Bliskim Wschodzie.

Nowa klasa wyższa ma wpływ na rządy, ale – tak samo jak inne warstwy amerykańskiego społeczeństwa, tyle że każda na inny sposób – jest ofiarą postępowej inżynierii społecznej. Szczególnie dojmującym tego efektem jest moralna degradacja białej Ameryki – zwłaszcza jej warstwy robotniczej i nowopowstałej białej klasy niższej.

W warstwie robotniczej, w grupie osób w wieku 30 do 49 lat 84% osób żyło w związku małżeńskim w roku 1960, ale tylko 48% w roku 2010. Procent rozwodów wzrósł w tej grupie z 4% w roku 1960 do 33% w roku 2010. Aż 22% dzieci są wychowywane przez osoby rozwiedzione, żyjące w separacji lub przez matki, które nigdy nie miały męża. Wśród białych matek, które nie ukończyły szkoły średniej, procent dzieci nieślubnych sięgnął 60. W warstwie robotniczej aż 60% populacji albo nie wyznaje żadnej religii, albo nie pojawia się w kościele częściej niż raz w roku.

Warunki pracy były w roku 1960 gorsze, robotnik był bardziej narażony na urazy, dostęp do leczenia był gorszy niż w roku 2010, a jednak tylko 0,7% robotników korzystało w roku 1960 z zasiłku federalnego dla fizycznie niezdolnych do pracy, zaś w roku 2010 było to 5,3%. Przy tym prawne warunki otrzymania owego zasiłku były cały czas prawie takie same.

Biały robotnik coraz chętniej korzysta z różnych form pomocy państwa, zamiast podjąć się pracy ciężkiej albo przepracować więcej niż 48 godzin tygodniowo. W warstwie tej bardzo wzrosła przestępczość. Jakie będzie następne pokolenie białych amerykańskich robotników, gdy ich obecne pokolenie nie tworzy już mocnych wspólnot, opuszcza kościoły, a ich rodziny rozpadają się, jeśli w ogóle są zakładane? I tak pojawiła się nowa klasa niższa.

Przez nową klasę niższą rozumie się tę część populacji robotniczej, która nie potrafi lub nie chce zarobić na utrzymanie swoje i swoich rodzin. A ściślej, za jej głównych członków uznaje tych mężczyzn, którzy nie są w stanie utrzymać dwuosobowego gospodarstwa domowego powyżej progu ubóstwa (dla orientacji: próg ubóstwa w roku 2010 to 14 634 \$ dochodu rocznego gospodarstwa dwuosobowego). Takich białych robotników w wieku 30 do 49 lat było 13% w roku 1959, 8% w roku 1967 i odtąd – mimo stabilnej lub rozwijającej się aż do ostatniej recesji ekonomii, bezrobocia na poziomie kilku procent od lat – stale rośnie, by w roku 2007 osiągnąć 27% (dla orientacji: znalezienie się ponad progiem ubóstwa oznacza 50,5 tygodnia pracy w ciągu roku za minimalną w USA płacę).

Podsumowując: kilkadziesiąt lat temu biali Amerykanie nie zarabiający na utrzymanie dwuosobowej rodziny nie stanowili klasy, która mogłaby wyznaczać obyczaje i sposób życia warstwy pracowników fizycznych. Żyli na marginesie, bez własnej winy, albo skutkiem własnego wyboru. Dziś zbudowali nową klasę niższą współwyznaczającą cywilizacyjny wzorzec dla widocznego segmentu amerykańskiego społeczeństwa. Społeczeństwa w stanie rozkładu, który postępuje – na inne sposoby – z góry i z dołu.

Opisując społeczne nastroje na początku lat 90-tych XX wieku mógł zmarły w tym roku znakomity historyk Forrest McDonald napisać, że jakkolwiek Amerykanie – a myślał przede wszystkim o członkach klasy średniej – mają śmiertelnie dość swojego rządu federalnego (czyli wszystkich trzech gałęzi władzy), to jednak ciągle zachowują cię wiary w urząd Prezydenta. Warunkiem zachowania tej wiary był wybór dobrego Prezydenta (w głosowaniu wzięło wówczas udział 55% wyborców, z których Bill Clinton otrzymał mniej niż połowę, a dokładnie 43% głosów). Zamiast rozwodzić się nad tym, dlaczego klasa średnia żywi dziś te

uczucia wobec całego rządu, lepiej rzucić okiem na głębsze przyczyny społecznego załamania Ameryki.

Źródła kryzysu

Czarnoskóry Frederick Douglas, któremu udało się zbiec z niewoli i który został wybitnym przedstawicielem ruchu abolicjonistycznego i potem ruchu na rzecz prawa głosu dla czarnych Amerykanów, w słynnym przemówieniu z roku 1865 pod tytułem „Czego pragnie czarnoskóry człowiek” powtarzał: pozwólcie Murzynowi żyć jak wolny człowiek i zostawcie go w spokoju, nic z nim nie róbcie. Chciał, by pozwolono Murzynom „stać na własnych nogach” i niech potem każdy odpowiada za siebie. Komu się nie powiedzie, to jego sprawa.

Historia czarnych Amerykanów pokazuje (por. np. studia Waltera Williamsa, uznanego czarnoskórego profesora ekonomii z Uniwersytetu George’a Masona), że na drodze ich ekonomicznego awansu stanął nie np. segregacjonizm, lecz wprowadzenie federalnej ustawy o minimalnej płacy w roku 1938 oraz inne regulacje proponowane przez związki zawodowe i wprowadzane przez władze lokalne, mające wyeliminować Murzynów z rynku pracy.

Rząd, czyli w Ameryce tyle co władze państwowe, włączył się do walki z segregacją rasową w roku 1954. To wtedy Sąd Najwyższy ogłosił jako sprzeczne z Konstytucją istnienie oddzielnych szkół publicznych dla białych i czarnych uczniów. W roku 1957 Gwardia Narodowa wprowadziła siłą do liceum dla białych w Little Rock w stanie Arkansas dziewięciu czarnych uczniów. Czarnoskóra młodzież zaczęła być przewożona do innych szkół, gdzie się nie zadomowiła, a jej dawne szkoły przestały być tym, czym były dotąd – centrami lokalnego życia okolicznej wspólnoty.

To tylko jeden przykład świadczący o tym, że – używając słów wybitnego socjologa Roberta Nisbeta – wchłonięcie tego co społeczne przez to co polityczne jest złem. Z rasową segregacją powinno było się amerykańskie społeczeństwo pożegnać, ale nie zaczynając od instytucji tak delikatnej jak szkoła i do tego biorąc się za rozwiązanie konfliktu społecznego środkami politycznymi niszczącymi skomplikowaną sieć społecznych powiązań.

Tymczasem Ameryka miała już wówczas za sobą długą historię niezdrowego rozrostu władzy państwowej, który to proces zaczął w owych latach znowu przyspieszać.

Historyk Henry Adams, wnuk Prezydenta Johna Quincy’ego Adamsa, pisał w 1870 roku, iż „rząd nie rządzi”, zaś „Kongres jest nieefektywny i coraz bardziej niekompetentny”. Już wtedy historyk ów przyczyny tego stanu rzeczy upatrywał w strukturalnej niemożności zachowania konstytucyjnego ładu, którego fundamentem miała być zasada równowagi i wzajemnej kontroli trzech gałęzi rządu. Ale taka zasada nie mogła działać, gdy władza rządu nad krajową ekonomią była już zbyt wielka, na rząd naciskały różne grupy interesu, rząd zatrudniał około 50 000 urzędników, zaś karuzela stanowisk wiązała się nierozdzielnie z patronażem (czyli strategią wzmacniania politycznego wpływu na drodze nominacji politycznych), a nie kompetencjami.

Ratunku zaczęto upatrywać, chwilowo z niezłym skutkiem, w oddaniu codziennej władzy służbie cywilnej ekspertów. Zaczęły powstawać rządowe agencje i komisje, pierwsza w 1887.

Do roku 1936 powstało ich jeszcze osiem. Pomijając czas II wojny światowej i powstałe wówczas komisje tymczasowe, liczba agencji zaczęła gwałtownie rosnąć w latach 60-tych i 70-tych XX wieku. W roku 1990 Forrest McDonald doliczył się 25 agencji, w 2013 Charles Murray siedemdziesięciu. Murray zwrócił uwagę, że chcąc właściwie ocenić rozrost administracji, należy jeszcze dodać 15 ministerstw (w przykładowym znalazł 49 biur podległych 3 wiceministrom lub bezpośrednio ministrowi).

Nie sposób nie pisać o tych szczegółach. Rzecz w tym, że od końca XIX wieku powstawała w USA czwarta władza – administracja. Wszak każda komisja, agencja, ministerstwo to stopy nowych regulacji wiążących ręce obywatelom. Zbiór owych federalnych regulacji liczył 174 545 stron w 2012 roku (nie licząc prawa podatkowego grubości więcej niż czterech Biblii). Do obowiązujących regulacji należy oczywiście dołączyć ustawy Kongresu i wykonawcze zarządzenia Prezydenta (ustawa dotycząca wprowadzonego za Prezydenta Obamę ubezpieczenia zdrowotnego liczy sobie 1024 strony).

Łatwo się domyślić, że w takim państwie Lewiatanie każdy przedsiębiorca i każdy obywatel dokonujący jakiejś większej transakcji powinien być prawie pewnym, iż jego działanie może się nie spodobać temu czy innemu federalnemu inspektorowi. A zatem, że w USA zapanował system prawa ufundowanego na bezprawiu – tak to nazwał Murray i dał tego wiele przykładów.

Trudniej się domyślić, ale tak niestety jest, że ów system, wspomagany od kilku dekad przez Sąd Najwyższy, potrafi zaatakować prawe sumienia amerykańskich obywateli. Niedawny wyrok Sądu Najwyższego przyznający prawo do „małżeństwa” osobom tej samej płci jest doskonałym dowodem zarówno uzurpacji przez władzę sądowniczą prawa do decydowania o tym, do czego według Konstytucji prawa nie ma, jak i niezawodnego sposobu na wprowadzenie do obiegu prawnego zasady nie do przyjęcia dla większości Kongresu i ogromnej większości obywateli (uzurpacje Sądu Najwyższego zaczęły się w roku 1937, ale długo nie dotyczyły fundamentalnych problemów etycznych).

Postępowa inżynieria społeczna zadomowiła się w USA wraz nastaniem tam tzw. postępowej ery na przełomie XIX i XX wieku. Szybko na najlepszych amerykańskich uniwersytetach, wśród tzw. intelektualnych elit, ale zasięg jej oddziaływania był dość długo ograniczony. Na przełomie lat 60-tych i 70-tych XX wieku ruch nabral rozmachu. Zaskakująco ochoczo przynajmniej częściowo dołączyły doń główne kościoły chrześcijańskie, w tym, choć nieco później, katolicki (którego kilka agend zaangażowało do pomocy niesławnej pamięci Saula Alinsky’ego).

Co dalej

USA są dziś zamieszkiwane głównie przez białych (ok. 64% w 2010), Latynosów (ok. 16%), czarnych (ok. 12%) i Azjatów (ok. 5%). Nowi latynosczy przybysze nie mają zamiaru się asymilować. Większość białych nie ma w ojczyźnie szans na rząd, z którym chciałyby się identyfikować. Wielu zostało uznanych przez obecną kandydatkę na Prezydenta za pożałowania godny, nieuleczalny ciemnogród (*irredeemable deplorables*), zapewne dlatego, że są przeciwni homoseksualnym „małżeństwom” i późnej aborcji.

Państwo Lewiatan zrobiło z większości bierny proletariatus, który jest tego państwa częściowo ubezwłasnowolnionym klientem.

W drugiej połowie XX wieku, pod naciskiem państwa i skutkiem innych okoliczności, zwłaszcza kulturalnej liberalizacji, społeczeństwo poddało się kulturowej dyfuzji, uległo indywidualizmowi i przez to dostrzegalnej atomizacji. Młodzież to dziś ocean subkultur.

Państwo jest systemowo zepsute (piszą o tym Levin i Murray, ponadto np. Peter Schweizer, Jay Cost) i nie można temu zaradzić poprzez wybory czy zmiany legislacyjne wymuszone na obecnie panującym reżimie.

Tymczasem klasa polityczna, a najlepiej to opisuje Yuval Levin, nie jest w stanie wyjść poza nostalgiczne – wszystko jedno czy lewicowej czy prawicowej proveniencji – absurdałne próby ożywienia przeszłości, gdy amerykańskie społeczeństwo było jeszcze duchową jednością w naturalnej i zrozumiałej wielości, i ufało państwu.

Okresem społecznej konsolidacji i spójności była pierwsza dekada po II wojnie światowej. Taki był klimat kulturalny i ekonomiczny. Ten drugi mówił o Ameryce, która po wojnie jedyna była potęgą, nie miała na światowym rynku konkurencji i mogła światu dyktować warunki. Było ją też stać na wprowadzanie ogólnopaństwowych programów społecznych, np. zdrowotnych dla ubogich i starszych. Ale świat zewnętrzny otrząsnął się po stratach wojennych, pojawiła konkurencja ekonomiczna i później globalizacja ekonomii, oraz dała o sobie znać liberalizacja kultury. Ameryka weszła w zupełnie nowy okres wewnętrznego rozkładu wcześniejszej spójności w sferze kultury i końca beztróskiej pewności siebie w sferze ekonomicznej.

Jakby dramatyczny nie był obecny społeczny kryzys zatomizowanej Ameryki, to o przyszłości należy myśleć w jego kontekście. Próby powrotu do tego co było i wrócić już nie może, nie mają żadnego sensu. Tymczasem partie władzy nie chcą się z tym pogodzić i dostrzec jak bardzo spadło społeczne zaufanie do instytucji państwowych. Nie widzą, że system władzy jest strukturalnie zepsuty, zaś społeczeństwo wewnętrznie podzielone. I recepty władzy na poprawę dobrostanu Amerykanów pozostają co do swej istoty niezmiennie od dziesiątków lat.

Charles Murray (p. „By the People: Rebuilding Liberty Without Permission”, 2015) proponuje zorganizowanie na jak najszerszą skalę prawnej obrony interesów Amerykanów i ich przedsiębiorstw przed inwazją chorych – i licznych – oskarżeń ze strony władz federalnych. Powiada by zacząć od powołania do życia i finansowania fundacji, która odpowie na inwazję absurdów inwazją zaskarżeń tych absurdów do odpowiednich sądów. Ku opamiętaniu i w końcu okiełznaniu Lewiatana.

Yuval Levin patrzy szerzej. Wychodzi od zasady pomocniczości i działań oddolnych. Tworzenia autentycznych i żywych wspólnot lokalnych, które w obecnym kontekście ekonomicznym i politycznym będą w stanie żyć owocnie, w zgodzie z amerykańską tradycją i wrażliwością religijną, z czasem ogarniając coraz szersze kręgi amerykańskiego społeczeństwa. Zespoły konserwatywnych badaczy, np. środowisko skupione wokół Levina i jego kwartalnika „National Affairs”, pracują nad programami działania dla takich wspólnot i

całego kraju, dopasowanymi do obecnej polaryzacji społecznej i zorientowanymi na pokonywanie konkretnych bolączek konkretnych grup społecznych. Są jak najdalsze od sugerowania wielkich programów państwowych, jakkolwiek widzą, jak państwo może wspomóc poprawę kondycji narodu.

Dla przykładu, analizując problem ubóstwa nad (rutynowe i demagogiczne) przeciwdziałanie nierównościom w zarobkach przedkładają proponowanie sposobów na obniżenie kosztów życia gorzej zarabiających i udrożnienie kanałów awansu ekonomicznego grup najuboższych oraz niższej klasy średniej. Na tym ekonomicznym polu zarówno państwo, jaki i podmioty lokalne, publiczne i prywatne, mogą współpracować na rzecz obniżenia kosztów ubezpieczenia zdrowotnego, kosztów studiów wyższych i dla najuboższych kosztów wychowania dzieci. Na polu odrodzenia kultury najważniejszą rolę może i powinno odegrać uaktywnienie lokalnych subkultur grup przechowujących tradycyjne wartości.

Jak to nazwał społeczny konserwatysta i działacz Rod Dreher, Amerykanie powinni dziś wybrać opcję benedyktyńską. To wymaga czasu, ale też św. Benedykt z Nursji nie przypadkiem został patronem Europy.

Postscriptum

W latach 70-tych ubiegłego wieku na ideowym firmamencie Ameryki pojawili się tzw. neokonserwatyści. Wcześniej należeli do intelektualnej elity amerykańskiej lewicy, ale opuścili ją zniechęceni absurdami rządowych programów społecznych i zaniepokojeni wściekłością ataku lewicowych inżynierów społecznych na rodzinę oraz tradycyjną moralność. Znaczenie neokonserwatystów szybko rosło. Tradycyjnym konserwatystom, którzy zwykle poprzestawali na krytyce wymienionych zjawisk z pozycji filozoficznych, dostarczali świetnych i szczegółowych analiz obnażających bankructwo programów państwowej opiekuńczości, potrafili świetnie dokumentować antyrodzinne i amoralne inicjatywy ideologów lewicy.

Po około dekadzie zaczął się rozbrat między tradycyjnymi konserwatystami, nazwanymi paleokonserwatystami, i neokonserwatystami, zakończony wojną między tymi środowiskami i marginalizacją tych pierwszych. Większość tych drugich stanęła na czele poronionej amerykańskiej krucjaty demokratycznej i odpowiadała za wepchnięcie Ameryki w niepotrzebne wojny na Bliskim Wschodzie w wieku XXI.

Yuval Levin, który nota bene nigdy nie interesował się amerykańskimi zapędami imperialistycznymi, wywodzi się z neokonserwatywnego kręgu. To William Kristoll, syn wybitnego Irvinga Kristolla, ojca chrzestnego neokonserwatyzmu, utworzył w roku 2009 kwartalnik „National Affairs” i powierzył jego prowadzenie Levinowi.

Wygląda na to, że historia zatoczyła koło. Levin i podobni mu społeczni konserwatyści są dziś potrzebni Ameryce tak samo, albo jeszcze bardziej niż neokonserwatyści byli jej potrzebni prawie 50 lat temu. Kwestią otwartą pozostaje, jaka Ameryka może się wyłonić z tak rysującego się przełomu.

27 października 2016